

Henryk Grzegorzówka

## Wspomnienia starego rolnika, żołnierza Drugiej Armii, uczestnika walk wyzwoleniczych

### Część pierwsza

*Poniższy tekst jest owocem wyteżonej pracy wspomnieniowej mojego Dziadka – Henryka Grzegorzówki, żołnierza i rolnika z Gozda. Wszystkie opisane wydarzenia są prawdziwe i działy się w Polsce międzywojenno-wojenno-powojennej. Rękopis wspomnień znajduje się u autora wstępu, który pełnił także rolę redaktora. Przepisując wspomnienia, redaktor starał się zachować ich specyficzny język (poprawiając jednak pewne niedoskonałości stylistyczno-ortograficzne).*

*W bieżącym numerze publikujemy pierwszą część tekstu. Następny numer zmieści resztę, a kolejny – esej komentujący wspomnienia Henryka Grzegorzówki, syna Józefa, dziadka Macieja. (Maciej Gnyszka)*

1945r. pierwszy front ukraiński. Celowniczy działa przeciwlotniczego. Przysięgę złożyłem 1944r. w Lublinie, urodziłem się 27 lipca 1921 r. we dworze w Jagodnem. Dziedzic był to stary kawaler, nazywał się Edward Szydłowski, bardzo dobry człowiek. Szanował swoich ludzi, którzy u niego pracowali – jak wyszedł na spacer, to lecieliśmy do niego i całowaliśmy go w rękę. Rządcą był Jęczmyk Ludwik, miał syna Heńka. Było nas paru chłopców, rówieśników, a on nam przewodził w zabawach – chodziliśmy po stawach, kąpaliśmy się (umieliśmy pływać, bo nas nauczyły starsze chłopaki), chodziliśmy na grzyby. Pani Jęczmykowa, żona rządcy, była kobietą inteligentną – częstowała nas chlebkiem z masłem, a jak było miodobranie, to postawiła nam talerz z miodem i smarowaliśmy chleb, i spożywaliśmy.

Ja brałem ojciu siekierę i chciałem rąbać drzewo – ojciec mi nie dawał. Siekiera była duża, ciężka, więc koniecznie chciałem mieć własną siekierkę. No, i ojciec spełnił moje żądania. Kował zrobił mi małą siekierkę. Bardzo się cieszyłem.

Mieliśmy dwa pomieszczenia mieszkalne – kuchnię i pokój. Pokój był ciepły, a kuchnia zimna. A ja ze swoją siekierką szczypałem drewna, no i mocno się zaziębiłem do tego stopnia, że byłem nieprzytomny. Ojciec przywiózł doktora

z Żelechowa, który stwierdził zapalenie opon mózgowych, że umrę. W tym czasie dziedzic parcelował dwór i chciał żeby rządcą i ojciec wzięli ziemi na Bank rolny. Ojciec nie bardzo chciał “Bo syn mnie umrze”, a dziedzic odpowiedział: “Mnie będzie leżeć w grobie ciężko, jak Pan będzie chodził od klamki do klamki.”

Szukał pracy ojciec, posłuchał dziedzica i wzięł ziemię na Bank rolny. Na wiadomość, że ja mam umrzeć, przybyły do mnie siostry z kościoła Mariawickiego z Gozda i zaczęły mnie ratować. Powiedziały, że to jest zapalenie oskrzeli płuc. Zaczęły mnie leczyć i wyleczyły mnie – doszedłem do zdrowia. Ten doktor z Żelechowa, co był u mnie, przyjechał do Jagodnego do chorego i pytał, czy ja już zmarłem i ludzie powiedzieli mu, że żyję. “Niemożliwe!” – przyszedł do domu do mnie i się zdziwił, że ja żyję.

Gdy ojciec wzięł ziemię, z czasem postawił sobie dom mieszkalny i stodołę. Czas zrobił swoje i dziedzic, wspaniały człowiek, zachorował i zmarł. Tłumy ludzi odprowadziły go na cmentarz z żalem. Nastął drugi dziedzic – niejaki Janasz. Ten był srogi. Tegośmy nie całowali w rękę. Na widok nas krzyczał na nas, wyzywał nas. Nie wolno nam było chodzić po groblach, ani koło pałacu. Niedobry był, bo pracowników zwalniał z pracy, a o pracę było trudno

w Polsce. Duże bezrobocie. Między innymi zwolnił i mojego ojca – pretekst był taki, że podczas nieobecności dziedzica, ojciec miał wziąć maszynę do młocki i młócić sobie zboże. Ojciec mu tłumaczył, że duża maszyna nie zmieściłaby się w stodole. Nie pomogło – ojca zwolnił, a był to początek zimy. Wziął sobie na miejsce ojca młodego człowieka z Poznania, nazywał się Pańko. Był tydzień i obaj z Janaszem pobili się i Pańko ugryzł Janasza w palec podczas bijatyki. W palec wdała się gangrena i palec anaszowi odjęli. Pańko odjechał z Jagodnego a ojciec wyprowadził się na wiosnę na swoje gospodarstwo.

Mieliśmy dom mieszkalny i stodołę; nie mieliśmy obory i studni. Było nam ciężko, ale byliśmy na swoim. Sprawdziły się słowa dziedzica Szydłowskiego, wspaniałego człowieka – byliśmy na swoim, a ojciec nie chodził od kłamki do kłamki. Szukał pracy, a mnie się pogorszyło.

Koledzy zpostali w Jagodnem, a ja samotny mieszkałem na kolonii. Chodziłem do szkoły do wsi Gózd. Po skończeniu szkoły w Goździe, poszedłem do szkoły siedmioletniej do Okrzei, ale musiałem chodzić pieszo pięć kilometrów co dzień w jedną stronę i w drugą stronę pięć – razem dziesięć. Nie chodziłem sam, chodziły chłopaki z Jagodnego i z Gęsiej Wólki. Szkoła w Okrzei nazwana była imieniem Henryka Sienkiewicza. Do tej szkoły chodziła młodzież z Bramki, Wojciechówki, z Kobylczyka, z Woli Okrzejskiej i z Jodzieńskiej Huty. Także miałem dużo kolegów. Sypaliśmy kopiec Sienkiewicza. Kierownikiem szkoły był Poreda. Przy końcu ostatniego roku, kierownictwo szkoły zebrało nas i zrobiliśmy sobie zdjęcie fotograficzne wraz z nauczycielami. I zaśpiewaliśmy "(...) a nasze młode lata popłyną szybko w dal / za dzień, za rok, za chwilę, / razem nie będzie nas". Ostatni rok szkolny skończył się, świadectwo ukończenia szkoły siedmioletniej otrzymałem i rozstałem się z kolegami.

Pracowałem wraz z ojcem na gospodarstwie, kolegów miałem – chodziliśmy po zabawach. Miałem też kolegę Stępniaaka Staśka, który obecnie jest w Australii. Nadszedł 1933 rok – do władzy doszedł

Hitler. Był malarzem, został kanclerzem. Stworzył faszystowskie Niemcy, a we Włoszech był faszyzm na czele stał Mussolini. W Rosji Sowieckiej na czele rządu Stalin. Wszyscy trzej byli zbrodniarzami na skalę światową. Najpierw Hitler wymordował Żydów u siebie w kraju, później zabrał Austrię. Po Austrii zabrał Czechy bez boju, a od Polski zażądał korytarza do Rosji, na co polski rząd się nie zgodził. Polskie radio nadawało w audycji: "Hitler kachę wziął pod pachę, poszli sobie na kielbachę / jedli, pili do uciechy, Ha cha cha / za to oddał Czechy" – dalej nadawali przez radio. "Hitler woła: Cacy cacy, dajcie połknąć się Polacy / Hitler kiwa palcem w bucie, a my mamy tysiąc uciech. / Straszy nas czerwoną szmatą, a my gwizdźmy sobie na to / nie damy jednego guzika z munduru."

Nadszedł rok 1939, w marcu 1939 roku panowała atmosfera wojenna. Powołano pod broń kilka roczników. 1939 roku Niemcy bez wypowiedzenia wojny, uderzyli silną swoją armią na Polskę. Polskę miała iść w pomoc Francja i Anglia, no i Ameryka wypowiedziała wojnę Niemcom. Ale, jak się później okazało, była to tylko nadzieja. 17 września uderzyła Rosja na tyły naszych wojsk, ale nasza armia pomimo gorszego uzbrojenia biła się. Niemcy byli okrutni – bombardowali miasta, strasznie zbombardowali Wieluń, zginęło około 30 tysięcy ludzi, w Łukowie zginęło około tysiąca ludzi. Część wojska wzięła Rosja, część wojska przedostała się do Rumunii. Ostatnia Armia Polesie, która szła na Dęblin i miała iść na pomoc Warszawie pod dowództwem Generała Kleberga, toczyła boje w okolicach wsi Hordzieżka, Adamów, Grabów Szlachecki, Lipiny, Wola Gułowska, Carna, Serokomla i Kock. Tu Kleberg oddał się w niewolę z żołnierzami z braku amunicji. Zmarł. W Niemczech był pochowany na Cmentarzu Neustadt.

Niemcy zajęli Polskę, nastał mrok okupacji niemieckiej. Było bardzo ciężko, żyliśmy w ciągłym strachu. Trzeba było dawać kontyngent, zboże, kartofle i mięso. Zaraz jak tylko wojna się skończyła, przyszedł do mnie Henryk Jęczmyk i mówi do mnie, że na dużym stawie pod wsią

Bramką, leży karabin: "Może byśmy go przynieśli?". Niemców w pobliżu nie było, założyliśmy sobie stare jesionki i ten karabin przynieśliśmy do lasu blisko domu. Wyczyściliśmy, nasmarowaliśmy i okręciliśmy w szmaty na pułapie domu. Zerwałem polepę z gliny, położyłem karabin i zalałem gliną. Żeby były plewy na polepie, posypałem plewami i wszystko grało.

Następną ofiarą Hitlera była Francja. Po krótkiej walce Niemcy ją zajęli. Wojska polskie, które przez Rumunię dostały się do Francji, walczyły na miejscu, a po przegranej schroniły się w Anglii. Tam powstał rząd Sikorskiego. Polacy żyli nadzieją, mówili sobie: "Czym na wiosnę słońcecko wyżej, tym Sikorski bliżej".

Nadszedł rok 1941, zaraz z wiosny wojska niemieckie zaczęły przemieszczać się na wschód. Jechały kolumny wojsk niemieckich na wschód, ludzie mówili że chyba wybuchnie wojna rosyjsko-niemiecka. I tak się stało.

Wojsko niemieckie stało w Goździe we wsi i u sąsiada naszego Jęczmyka przyszli do nas. Był to rok 1941, czerwiec. Stałem na schodach, a Niemcy mówią do mnie, że armia niemiecka rozpoczęła wojnę z Rosją. "Cwancyś tagie rus kaput" – po polsku, że 20 dni i Rosja skapituluje. Niemcy szli na wschód i zdobywali miasta jedno po drugim. Wojna przeciągała się, Niemcy podeszli już pod Moskwę, żołnierze sowieccy przyczepiali sobie miny i kładli się pod czołgi. Odparli Niemców. Leningrad był otoczony przez Niemców trzy lata, tymczasem u nas – w okupowanej Polsce – powstało podziemie. Powstała Armia Krajowa, Bataliony Chłopskie i komunistyczna organizacja Gwardia Ludowa (PPR). Tymczasem Niemcy otaczali miasta, mordowali i wywozili Żydów do obozów zagłady i śmierci. Informacje otrzymywaliśmy od organizacji Podziemia – był "Biuletyn Informacyjny" wydawany przez AK, "Gwardzista Ludowy" wydawany przez komunistów. Tymczasem Niemcy mordowali także ludność polską. Zabili trzech nauczycieli w Gęsiej Wólce.

W Rosji tymczasem panowała sroga i śnieżna zima, która dawała się we znaki Niemcom. Zamarzali, a wtedy trwała bitwa

o Stalingrad. Rosjanie otoczyli Niemców i wzięli trzysta tysięcy jeńców wraz z Naczelnym Dowódcą Paulusem. Najlepsza armia niemiecka dostała się do niewoli. Zaczęli się cofać i zbliżając się do granic Polski.

Pewnego razu obudził mnie ojciec nad ranem i "Coś się dzieje" mówi. Słychać było huk armat w stronę wschodu. Była to ofensywa na Bugu – Rosjanie forsowali rzekę Bug. Za dwa dni idę do Gozda, a tu idzie piechota sowiecka. Zajęli tereny do Wisły. Przyszli do nas w lipcu, a już we wrześniu powołali do wojska cztery roczniki – 1921, 1922, 1923 i 1924. Ja byłem z dwudziestego pierwszego i w Garwolinie zostałem przydzielony do artylerii przeciwlotniczej jako celowniczy. Z Garwolina przyjechaliśmy pod Lublin, gdzie dostaliśmy działa, samochody, karabiny i zostaliśmy umundurowani. Rozpoczęły się ćwiczenia. Spaliśmy w ziemiankach, które sobie zbudowaliśmy. Życie było trudne. Gdy było zimno, nakrywaliśmy się płaszczami. W nocy były alarmy, nadlatywały pojedyncze samoloty niemieckie, trzeba było strzelać po szumie motora i wystawać godzinami na działach.

Do łaźni chodziliśmy do Lublina – wesz nie było. Z Lublina wyjechaliśmy do Międzyrzecza, tam jakiś czas ćwiczyliśmy. Łaźni nie było, więc wszy nas gnębiły. Chcąc je usunąć, trzeba było te duże wszy wybić, a mniejsze zostawić na drugi dzień, żeby podrosły. Za lampę mieliśmy pudełko po konserwie z towotem – wsadzony był w nie knot z gałgana, a rano spluwaliśmy czarną flegmą.

Z Międzyrzecza wyjechaliśmy pod wieś Wola Paprotnia. Był mróz dwadzieścia stopni. Staliśmy w polu, z warty zeszedliśmy o godzinie ósmej z kolegą. Dwa razy przeszliśmy wieś. Nie było miejsca. Wieś była długa, w jednej chałupie byli nasi koledzy i wołali nas, żebyśmy weszli, ale chłop wyszedł do sieni i krzyczy: "Tu nie ma miejsca!". Kolega chwycił go za kołnierz, ja go pchnąłem z tyłu i weszliśmy do chałupy. Miejsca było tylko na dwóch, tak położyliśmy się na podłodze. Zdjęliśmy buty, drzwi były nieszczelne.